

# CZY POLSCE GROZI FASZYZM

Zdzisław M. Rurarz

"Washington Post" w swym niedzielnym wydaniu z 29 października br. wyraził obawę, że zbyt mała i spóźniona pomoc gospodarcza Zachodu dla Polski i Węgier może doprowadzić do odrodzenia się "impulsów z ery prekomunistycznej" w obu krajach, tj. do powrotu autorytaryzmu o zabarwieniu faszystowskim.

Ciekawe, że tak renomowany dziennik nie obawia się nawrotu do stalinizmu, a natomiast obawia się rządów faszystowskich w obu krajach, bo o to mu chodzi pod płaszczykiem wspomnianego eufemizmu.

Co do Polski, to nie ma ona tradycji rządów faszystowskich, w odróżnieniu

amerykańskich, to sprawy **nie można** lekceważyć. Widocznie są po temu głębsze powody, których na razie jeszcze się nie wymienia. Sama bowiem perspektywa czegoś podobnego jest na tyle szokująca, że spekulacje na jej temat trzeba dawkować.

Niemniej jednak, **już** zapalono czerwone światełko, które teraz może migać z różnym natężeniem w różnych środowiskach amerykańskich, a może nawet zachodnich w ogóle.

Tego rodzaju światełko jest w swej istocie **wysoce niebezpieczne**, gdyż w sposób dość jednoznaczny nie tylko podnosi sprawę niedemokratycznych tradycji takich krajów jak Polska i

pochodzenia żydowskiego. Służby bezpieczeństwa w tych krajach i ich tubylcy ujawnią w razie potrzeby dodatkowe nazwiska, o których przeciętni ludzie nic nie wiedzą odnośnie ich pochodzenia.

Prawdę mówiąc, coś takiego chyba już obecnie ma miejsce i stąd bicie na alarm. Dotyczy to zwłaszcza Polski, gdzie przy okazji incydentu oświęcimskiego różne strony zajęły różne stanowiska i ujawniły się nowe konflikty wewnętrzne, które w środowiskach masowego przekazu na Zachodzie, zwłaszcza w USA, mogą być przedstawiane jako zwiastujące nadszycie "chmury faszystowskiej". Coś takiego może dla wielu oznaczać preferowanie już raczej komunizmu w tych krajach niż ryzykowanie gry w demokrację, której efektem końcowym może być faszyzm.

Najgorsze w tym wszystkim jest to, że raz rzucone tego rodzaju podejrzenie żyje potem swoim własnym życiem. Wiele wydarzeń zaczyna oceniać się pod tym swoistym kątem widzenia i może być bardzo trudno przekonać podejrzliwych, że albo się w ogóle mylą, albo mało znaczące incydenty rozdmuchują ponad rozsądną miarę.

Powróćmy jednak do możliwości narodzenia się faszyzmu w Polsce, bo przecież nie odrodzenia czegoś co nigdy w Polsce nie istniało. Węgry zostawmy w spokoju i niech sami Węgrzy mówią o sobie. Zostawmy też na uboczu sprawę rządów autorytarnych, bo tych też nie było w pełnym tego słowa znaczeniu, choć edyby rządy takie były i były

"Grunwald", różnego rodzaju "endeków", a nawet Konfederację Polski Niepodległej i część hierarchii kościelnej, z parafią na Zagómej w pierwszym rzędzie.

Sprawa ta, a jest to istotna sprawa, wymaga krótkiego komentarza.

Otóż jest prawdą, że zarówno w łonie PZPR, jak później także opozycji (a co jest opozycją nie bardzo wiadomo) zawsze trwały różne podskórne konflikty pomiędzy różnymi działaczami, których nicią przewodnią była lojalność wobec reprezentowanej sprawy.

Co do PZPR, przedtem PPR, to zaznaczyła się tu wyraźnie **etniczna** linia podziału, zresztą zrecznie podsycana przez sowieckie służby specjalne. Zasada "dziel i rządź" była tu w pełni stosowana, a w pewnych okresach czasu przybierała wręcz dramatyczne rozmiary.

Ten stan rzeczy przeniósł się potem do szeregów opozycji, bo w PZPR uległ niemal całkowitej samolikwidacji w związku ze znanymi czystkami i emigracją Polaków pochodzenia żydowskiego.

Znacznie bardziej złożona sytuacja narodziła się więc w łonie opozycji, dziś już w znacznej części, przynajmniej formalnie, współrządzącej krajem. Wielu opozycjonistów, nie wnikając już w to co się pod tym rzeczywiście rozumie, jest nie tylko Polakami żydowskiego pochodzenia, ale w dodatku wywodzi się z ruchu komunistycznego, bądź rodzin komunistycznych. A ponieważ w opozycji liczy się przede wszystkim **wiarygodność** jej członków, przede wszystkim wiarygodność jest to sprawa

*Jeśli tego rodzaju poglądy trafiają już na łamy poważnych pism amerykańskich, to sprawy nie można lekceważyć. Widocznie są po temu głębsze powody, których na razie jeszcze się nie wymienia.*

od przedwojennych i wojennych Węgier, choć faszyzm węgierski był sielanką wobec faszyzmu niemieckiego. W Polsce była co prawda lilipucia Falanga, ale w czasie wojny przestała się ona liczyć zupełnie, zaś jej członkowie, z jej przywódcą Bolesławem Piaseckim, stanęli do walki zbrojnej z okupantami hitlerowskimi. Również rządy autorytatywne w Polsce były dalekie od dyktatury. Jeśli już w ogóle było tutaj coś na kształt dyktatury, to dotyczyło jedynie wojska i polityki zagranicznej. Może też w pewnym okresie przesada

Węgry, co samo przez się może zniechęcać środowiska demokracji wobec procesów zachodzących w obu krajach, a w ogóle oznacza jeszcze coś innego.

Mianowicie, przez tego rodzaju obawy przebija **niewiara** wobec nie tylko narodów omawianych krajów, ale także sił demokratycznych. Siły te albo są bowiem uważane za zbyt słabe i niedojrzałe do przeprowadzenia procesom demokratycznym, albo wręcz podejrzewane o nieszczerłość.

Poglądy tego rodzaju musiały się

langu, ale w czasie wojny przestała się ona liczyć zupełnie, zaś jej członkowie, z jej przywódcą Bolesławem Piaseckim, stanęli do walki zbrojnej z okupantami hitlerowskimi. Również rządy autorytatywne w Polsce były dalekie od dyktatury. Jeśli już w ogóle było tutaj coś na kształt dyktatury, to dotyczyło jedynie wojska i polityki zagranicznej. Może też w pewnym okresie przesadą były procesy w postaci brzeskiego, czy obóz w Berezie Kartuskiej, choć było to niczym wobec tego co działo się w sąsiadującym ZSRR czy Niemczech Hitlera. Również pełne napięcia w środowiskach mniejszości narodowych były niczym wobec praktyk stosowanych w obu wyżej wymienionych krajach.

Okres wojny, nawet na Węgrzech, spowodował wstąpienie do praktyk faszystowskich, nie mówiąc już o tym, że miesza się tu te ostatnie z nazistowskimi. Praktyki nazistowskie zaś były zwyczajnie "narodowo-socjalistyczne", a w Polsce i na Węgrzech budowano socjalizm, więc bezpieczniej było ochrzcić "narodowy socjalizm" faszyzmem i ten wieloznaczny termin wszedł już na trwałe do leksykonu międzynarodowego i kiedy "Washington Post" mówi o faszyźmie, to myśli o nazizmie.

Powróćmy jednak do tematu. Jeszcze komunistom nie wyzionął ducha ani w Polsce ani na Węgrzech (ani w żadnym innym kraju), jeszcze demokracja nie zdążyła w nich nawet zakiełkować, bo obecnie obserwowane tam procesy są dalekie od tego, a już poniekąd wpadają w panikę na temat możliwości zastąpienia komunistów przez faszyzm, albo coś w tym rodzaju, bo nazwa nie jest najważniejsza.

Jeśli tego rodzaju poglądy trafiają już na łamy poważnych pism

krajach, a w ogóle oznacza jeszcze coś innego.

Mianowicie, przez tego rodzaju obawy przebiega **niewiara** wobec nie tylko narodów omawianych krajów, ale także sił demokratycznych. Siły te albo są bowiem uważane za zbyt słabe i niedojrzałe do przeprowadzenia procesów demokratycznych, albo wręcz podejrzewane o nieszczerłość.

Poglądy tego rodzaju musiały się zrodzić na jakiejś **konkretnej** podstawie. Dzienniki takie jak "Washington Post" mają od lat swoich stałych korespondentów w Warszawie i Budapeszcie, a ponadto mają dostęp do kół rządowych i kongresowych w stolicy i często są nawet tubą poglądów tych ostatnich.

Co więcej, omawiane poglądy nie mówią jeszcze wszystkiego, choć uważny czytelnik może tu wiele wyczytać między wierszami. Tak na przykład, Europa Wschodnia ma solidnie urobioną opinię anty-semickiej, zwłaszcza w odniesieniu do okresu przed i wojennego, a jeśli chodzi o Polskę, to także powojennego (program w Kielcach w lipcu 1946 r. oraz wydarzenia lat 1967-1969, zwłaszcza marcowe wypadki z 1968 r.).

Innymi słowy straszenie faszyzmem w Polsce i na Węgrzech, jest automatycznie **równoznaczne** ze straszeniem anty-semityzmem w tych krajach. A ponieważ tak się składa, że w czołówce "drużyny Lecha Wałęsy" jest sporo Polaków pochodzenia żydowskiego, podobnie jak wśród reformatorów węgierskich jest sporo Węgrów pochodzenia żydowskiego, przeto cała sprawa nabiera dodatkowego posmaku. Przegrana Solidarności czy reformatorów węgierskich, może istotnie spowodować nową falę anty-semityzmu w obu krajach i nie jest nawet ważne ilu żyje tam obywateli

cydenty rozumieją ponad rozsądną miarę.

Powróćmy jednak do możliwości narodzenia się faszyzmu w Polsce, bo przecież nie odrodzenia czegoś co **nigdy** w Polsce nie istniało. Węgry zostawmy w spokoju i niech sami Węgrzy mówią o sobie. Zostawmy też na uboczu sprawę rządów autorytarnych, bo tych też nie było w pełnym tego słowa znaczeniu, choć gdyby rządy takie były i były oświecone, to nie byłoby w tym żadnej tragedii. Mądra autokracja nie jest wcale czymś gorszym od nieodpowiedniej sejmokracji czy "zgromadzeniokracji".

Otóż, żeby coś mogło się narodzić w ogóle, to musi mieć przede wszystkim rodziców. Prawda, rodzą się czasem ruchy masowe, jak np. Solidarność, które stwarzają wrażenie narodzin bez rodziców. Jednakże bliższe przyjrzenie się zjawisku wykazuje, że nawet

**... ruch opozycyjny w Polsce, kraju etnicznie niemal jednorodnym, musiał i musi mieć silne, jeśli nie decydujące, narodowo-patriotyczne zabarwienie. Chodzi tu bowiem nie tylko o budowę społeczeństwa demokratycznego, ale przede wszystkim suwerennego w sensie prawdziwie niepodległego Państwa Polskiego (każde inne bowiem jest naigrywaniem się z tej instytucji).**

Solidarność miała ich w postaci już wcześniej zorganizowanych form ruchu opozycyjnego, z wolnymi związkami zawodowymi włącznie.

Jakiegokolwiek narodzenie się faszyzmu, musiałoby również mieć swoich rodziców. Czy są tego rodzaju rodzice w Polsce? Nie, nie ma ich w ogóle!

Ale prawdą jest także, że o tendencje faszystowskie posądza się

dziś już w znacznej części, przynajmniej formalnie, współzależnej krajem. Wielu opozycjonistów, nie wnikając już w to co się pod tym rzeczywiście rozumie, jest nie tylko Polakami żydowskiego pochodzenia, ale w dodatku wywodzi się z ruchu komunistycznego, bądź rodzin komunistycznych. A ponieważ w opozycji liczy się przede wszystkim **wiarygodność** jej członków, przeto coś podobnego jest tu częściowo wytłumaczalne.

Co więcej, ruch opozycyjny w Polsce, kraju etnicznie niemal jednorodnym, musiał i musi mieć silne, jeśli nie decydujące, **narodowo-patriotyczne** zabarwienie. Chodzi tu bowiem nie tylko o budowę społeczeństwa demokratycznego, ale przede wszystkim suwerennego w sensie prawdziwie niepodległego Państwa Polskiego (każde inne bowiem jest nai-

grywaniem się z tej instytucji).

Siłą rzeczy więc, prawdziwy bojownik o omawianą sprawę musi być "nieskazitelnym Polakiem". Tego rodzaju pojęcie łączy się tradycyjnie z pojęciem "Polak-katolik". Każdy inny Polak, i niestety nie bez racji w świetle doświadczeń historycznych, staje się automatycznie podejrzany o nieszczerą intencję, jeśli nie o coś jeszcze gorszego. Sprawę dodatkowo komplikuje fakt, że